

J. S.

Z zapisków pruszkowskiego akowca : ocalić od zapomnienia

Przegląd Pruszkowski nr 1, 97-109

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z zapisków pruszkowskiego akowca

Ocalić od zapomnienia

W tym roku mija 80 lat od dni, w którym Polska będąc zniewoloną i podzieloną między trzy cesarstwa - Rosję, Prusy i Austrię - po 146 latach niewoli (od pierwszego rozbioru Polski w 1772 roku), lub, licząc od trzeciego, ostatecznego rozbioru w 1795 roku, po 123 latach niewoli - zaczęła odzyskiwać swą niepodległość.

Opisane w tym rozdziale wydarzenia nie są związane z działalnością pruszkowskich oddziałów Armii Krajowej, ale jest to wspomnienie o polskim żołnierzu, który uczestniczył w tworzeniu Wojska Polskiego we Francji w 1917 roku i walczył w latach 1918-1920 o odzyskanie niepodległości, o jej obronę w 1939 roku, a także o wyzwolenie Kraju z niewoli hitlerowskiej. A jaka i od kogo spotkała go za to nagroda?

Jest to wspomnienie również o ofierze swego życia, jaką świadomie złożył brat tego żołnierza.

W Brwinowie, na ulicy Wilsona, w domu rodzinnym mego ojca, w którym od naszego wyjazdu do Prużany (Kresy Wschodnie) w 1933r. gospodarowała moja ciotka ze swym mężem (wujem Ryszardem), wiosną 1944 roku zamieszkał niejaki pan Stanisław.

Miejsca wolnego wówczas było w domu dużo, mieszkała tam tylko ciotka z wujem, gdyż młodszy z ich dwóch synów, osiemnastoletni chłopak w lipcu 1943r. zginął tragicznie (utopił się w czasie kąpieli w brwinowskich gliniankach), a niedługo potem Niemcy wprost z fabryki wywieźli starszego syna do Oświęcimia. Jedną z zalet tego domu było jego położenie, bo znajdował się on blisko stacji kolejowej, wśród drzew i krzewów, w dość dużym ogrodzie. Furtka była zamknięta na klucz, a zamiast dzwonka była "Miśka", cudny ale bardzo hałaśliwy kundel, szczekała zawsze o ile tylko ktoś zatrzymał się przy furtce, czy był to ktoś swój, czy obcy. Różnica polegała tylko na intonacji jej głosu, świadczącej albo o radości witania swoich, albo złości na obcych.

Drugą zaletą - bardzo istotną w warunkach niemieckiej okupacji - było to, że za domem wśród krzewów agrestu i trawy znajdował się głęboki, obmurowany głęboki dół o wymiarach 2 x 2 metry, przeznaczony na szambo, jednakże nigdy nie był wykorzystany, gdyż rodzice przed wojną



St. strzelec "Tomahawk"



Ryszard Jabłoński (1889-1975), właściciel domu w Brwinowie, gdzie mieszkał płk Grodzki

nie zdążyli zakończyć instalowania domowej kanalizacji. I dobrze, że tak się stało. Wchodziło się do tego dołu przez kwadratowy otwór zakrywany płytką, drewnianą skrzynką z zasadzoną w niej trawą, doskonale maskującą wejście. Na dnie tego niedosłego szamba stała ławka i wysoki stół ułatwiający wejście czy wyjście. Cudowna kryjówka, z której korzystali na ogół mężczyźni, zwykle bardziej zagrożeni od kobiet, gdy do furki dobijali się Niemcy - co niestety niekiedy miało miejsce.

W takich przypadkach jedyne niebezpieczeństwo stanowiła tylko "Miśka", która wyczuwając siedzących w kryjówce domowników, biegła wokół zakrytego otworu i drapała ziemię, radośnie poszczekując. W takich przypadkach należało ją koniecznie trzymać zamkniętą w piwnicy.

Nowy lokator, pan Stanisław, był średniego wzrostu, lat około czterdziestu pięciu, korpulentny brunet z lekka szpakowaty, również ze szpakowatą wąsobródką zakrywającą usta i zarys podbródka. Miał badawcze, spokojne spojrzenie szaroniebieskich oczu. Cechą charakterystyczną było to, że kiedy się czymś zdenerwował, opuszczał na chwilę głowę na piersi z lekka machając rękami, jakby strząsał jakieś okrucieństwa z klap marynarki.

Ja mieszkalem z matką w jej rodzinnym domu, niedaleko, przy ulicy Grodzkiej. Byłem jednakże bardzo częstym gościem w domu na Wilsona, gdyż tam się urodziłem, spędziłem pierwsze lata mego życia i bardzo ten dom i ogród lubiłem. Zaopatrywałem też wuja w podziemną prasę.

Zarówno wuj jak i pan Stanisław wiedzieli, że byłem uciekinierem z sowieckiego "raju", ale ze względu na swój wiek nie byłem partnerem do rozmów z panem Stanisławem. Większość informacji o nim miałem od wuja, który - podobnie jak i pan Stanisław - zawsze wiedział co mówi i potrafił trzymać język za zębami.

Kiedyś wuj powiedział mi, że pan Stanisław jest ukrywającym się oficerem, nazywa się Grodzki, ale już nie pamiętam, czy występował pod swoim nazwiskiem, czy też miał dokumenty na jakieś przybrane nazwisko. Poprzednio mieszkał w Milanówku u swego brata, którego aresztowało gestapo. Do pana Stanisława mało kto przychodził, natomiast on często wychodził z domu na kilka godzin. Najczęstszym jego gościem była jego bratowa (żona aresztowanego brata), szczupła ładna blondynka w wieku trzydziestu kilku lat, przyjeżdżająca z Milanówka z dwójką swoich małych dzieci. Dzieciaki swobodnie hasały z "Miśką" po całym ogrodzie, co mnie nawet dziwiło, gdyż wuj-pedant hodujący w ogrodzie kwiaty, pomidory i warzywa, z zasady pozwalał chodzić tylko po wygracowanych (często przeze mnie) ścieżkach. Zasadnicze miejsce do zabaw i odpoczynku w ogrodzie znajdowało się pod rozłożystym starym dębem, pod którego cieniem, osłonięta od ulicy i domu krzakami bzu stała ławeczka z wygodnym oparciem.

Jednego czerwcowego popołudnia - a była to sobota i właśnie dzień moich imienin - siedzieliśmy z wujem i panem Stanisławem na tej ławeczce, popijając za moje zdrowie wino z czerwonych porzeczek wuja roboty. Wspominałem, jak po przyjsciu bolszewików w 1939 roku do Prużany, późną jesienią rozpocząłem naukę w szkole. Uczyłem się w ósmej klasie "dziesięciolatki". Wykłady prowadzono po rosyjsku. Najtrudniej było mi zrozumieć wykładaną po rosyjsku matematykę, a śmieszył mnie wykładany po rosyjsku język białoruski jako język ojczysty, gdyż była tam wówczas Białoruś. Kłopoty były również z językiem niemieckim, który wykladał nasz nauczyciel z gimnazjum pan Voelpel, rodowity Niemiec słabo mówiący po polsku i w ogóle nie znający rosyjskiego. A po polsku w szkole mówić nie było wolno. Nauka niemieckiego odbywała się więc bez pomocy innego języka. Trudno się było uczyć, klasy przepełnione, gdyż każdy mógł przychodzić do szkoły bez żadnych egzaminów wstępnych, choć ósma klasa według układu polskiego równa była drugiej klasie gimnazjum. Dodatkowym utrudnieniem było wprowadzenie dziesięciodniowego tygodnia. Dziewięć dni pracy, dziesiąty dzień, to tak zwany "dzień oddycha". Byliśmy przecież przyzwyczajeni do tego, że po sześciu dniach był jeden dzień - niedziela - dniem odpoczynku. Te ostatnie trzy dni dziesięciodniowego

tygodnia były dla wszystkich uczniów bardzo męczące, trudno się było na nauce koncentrować.

- Ja też miałem trudności językowe, gdy uczyłem się w rosyjskiej szkole kolejowej w Harbinie (w latach 1903-1904) - powiedział mój wuj - i to nie była sprawa języka polskiego czy rosyjskiego, tylko chińskiego. Wychodząc z internatu na miasto, słyszało się tylko język chiński. Wiele mi pomagał język międzynarodowy, jakim jest gestykulacja i mimika. Ale i chińskiego trochę cię nauczyłem.

- A gdzie pana zastała bolszewicka rewolucja? - spytał pan Stanisław.

- Później pracowałem przez kilkanaście lat na kolei w Chabarowsku - powiedział wuj. Tam mnie zastała rewolucja. Jak przyszedli do Chabarowska bolszewicy latem 1921 roku, musiałem jako pomocnik maszynisty jechać kiedyś pociągiem złożonym z samych odkrytych platform, na których stali ludzie ze związanymi z tyłu drutem rękami. Gdy pociąg wjechał na środek mostu na Amurze, jadący z nami na parowozie krasnoarmiejec kazał nam zatrzymać się. Wówczas z platform krasnoarmiejcy bagnetami zaczęli spychać tych ludzi prosto do rzeki. Spadali jak jabłka strząsane z drzewa, nikt nie wypłynął. Gdy na platformach zostali sami krasnoarmiejcy, kazali nam wycofać pociąg z powrotem na stację w Chabarowsku. Dość się tam napatrzyłem na różne okropności. Poza tym bałem się, że jako świadek, mogę być rozstrzelany, więc uciekłem stamtąd i drogą morską przez Japonię dostałem się do Polski.

Znałem te przygody wuja. Kiedyś mi już opowiadał o życiu w Harbinie i Chabarowsku.

Po tej opowieści, po chwili milczenia, pan Stanisław z półśmiechem powiedział.

- Ot co, spotkały się prawie trzy pokolenia, które życie zmuszało do poznania języka rosyjskiego i Rosji oraz skutków tamtej rewolucji.

Jako handlarz skór, dwukrotnie byłem tam i po rewolucji.

- To pan handlował skórami? - zdziwił się wuj.

- I to mnie kiedyś spotkało. Życie płata czasem takie nie zawsze śmieszne figle - odpowiedział pan Stanisław.

To pytanie wuja przerwało opowieść pana Stanisława. W milczeniu zajęci każdy swoimi myślami, patrząc na skłaniające się ku zachodowi słońce, popijaliśmy ze szklaneczek wuja czerwone jak krew porzeczkowe wino.

Nadal bardzo mało wiedziałem, kim jest pan Stanisław, co robi, domyślałem się tylko, że musi mieć coś wspólnego z działalnością podziemną. Świadczyły o tym również gazetki dawane niekiedy przez niego do przeczytania.

W kilka dni po wybuchu powstania warszawskiego, w domu pojawili się nowi lokatorzy. Zajęli pokój, w którym ja się kiedyś urodziłem.

Był to pan Brunicki z żoną i kilkumiesięcznym dzieckiem. On był niskim, szpakowatym czterdziestoletnim nerwusikiem. Ona również niska, brunetka, znacznie młodsza od niego, o wyraźnie semickich rysach. Byli Żydami. Pochodzili z Łodzi, dlaczego przyjechali do Brwinowa - nie wiem.

Przybycie nowych lokatorów bardzo zdenerwowało pana Stanisława. Stanowili oni przecież nowe poważne zagrożenie, a było to już w tym czasie, gdy w Brwinowie zagnieździło się "szupo", składające niekiedy niezapowiadane wizyty. Tak też się złożyło i w domu przy ulicy Wilsona. Na szczęście ciotka zdążyła "zadołować" w kryjówce pana Stanisława i pana Brunickiego, a psa zdążyła zamknąć w piwnicy.

Gdy Niemcy weszli do pokoju pani Brunickiej, trzymała ona na rękach dziecko i tuliła do niego twarz, a ręką wsuniętą pod becik - jak później opowiadała - szczypała dziecko tak, że bachor wydierał się w niebogłosy. A ona szczypała dzieciaka i tuliła doń twarz, powtarzając w kółko:

- Kochanie ty moje, moja biedna dziecinko, chyba cię tyfus bierze, cicho, nie choruj, Bóg cię uratuje. - (na życzenie lokatorki w pokoju powieszono dodatkowe święte obrazki i krzyżyk).

Ciotka później opowiadała, że Niemiec z odrazą spojrzał na matkę z dzieckiem, na pokój przyciemniony zasłonami okien i tyłem wycofał się z pokoju.



Przed domem w Brwinowie stoją: Ryszard Jabłoński (w środku) jego żona i siostrzeniec

Po zakończeniu działań wojennych państwo Bruniccy wyjechali do Łodzi. W 1946 roku pan Brunicki odwiedził kiedyś wuja i spytał go, czy czegoś nie potrzebuje. Więcej się nie pokazał.

W czasie powstania warszawskiego, pan Stanisław częściej wychodził z domu oraz jeździł przeważnie kolejką EKD do Milanówka.

W tym czasie kolejka EKD nie dojeżdżała do samej Warszawy, ale kursowała w przeciwnym kierunku, zawsze dojeżdżała do Komorowa, a czasami i gdzieś dalej niż do Pruszkowa. Stale natomiast kursowała do Milanówka i Grodziska.

Jeśli mogłem, unikałem jazdy PKP od czasu, jak kiedyś czekając po pracy na pociąg w Pruszkowie na peronie, spotkała mnie trochę niemiła przygoda. Było to w okresie, gdy Niemcy przywozili - przeważnie pociągami towarowymi - ludzi z Warszawy i lokowali ich w obozie na terenie warsztatów kolejowych.

Wraz z innymi pasażerami czekałem na peronie na pociąg. Podjechał pociąg elektryczny, wewnątrz był już tłok, ale to nic dziwnego, pociągi nie jeździły punktualnie. Gdy tylko drzwi się pootwierały, wepchnąłem się do środka stając przy samych drzwiach. Zdziwiłem się tylko, że za mną nikt się nie wpychał a z wagonów ludzie nie wysiadają. Wyjrzałem na zewnątrz, zobaczyłem, że czekający na peronie odeszli od wagonów na środek peronu, a z otwartych dalej drzwi wychodzą niemieccy wartownicy. Chciałem z powrotem wyjść na peron, ale najbliższy wartownik krzyczy do mnie "Zurück" i zdejmuję z ramienia karabin. Na szczęście wskoczyłem w pierwsze drzwi od przodu pociągu, co widział kierownik pociągu otwierający wszystkie drzwi oraz stojący obok niego Bahnschutz. Poszwargotali coś między sobą z wartownikiem i ten machnął ręką, abym wyszedł na peron. Stojący na peronie ludzie obdarzyli mnie epitetami "fujara, gapa, ale dupek miał szczęście". Żem dupek, to fakt, ale pamiętam, jak się nazywam.

Któregoś dnia na początku września, wracałem po pracy z Pruszkowa kolejką EKD. Musiałem dojść piechotą aż do Komorowa. Piękna pogoda, miły spacer. Stamtąd pojechałem do Podkowy Leśnej. Na stacji kręcili się żołnierze niemieccy w hełmach, w bocznej ulicy zobaczyłem stojące trzy "budy" (ciężarówki zakryte plandekami). Wyglądało to tak, jakby zanosiło się na jakąś akcję. Ludzi było mało, nikt mnie nie zatrzymywał. Spokojnie doszedłem do Brwinowa. Gdy byłem już na ulicy Wilsona w odległości około dwustu metrów od domu, poznałem, że naprzeciw idący w moją stronę mężczyzna to pan Stanisław.

- Dzień dobry panu - przywitałem go. - Jeśli pan chce iść do Podkowy Leśnej, to niech pan lepiej zawróci. Są tam Niemcy i budy. Wprawdzie to

Wehrmacht, ale i z nimi nic wiadomo. Jeśli chce pan jechać, to już lepiej PKP.

- Niestety - odpowiedział pan Stanisław. - Na stacji szupo. - Chwilę zastanowił się, z kieszonki na zegarek w spodniach wyjął małą złożoną kilkakrotnie bibułkę i podając mi ją powiedział:

- Panie Janie, mam do pana prośbę. Niech pan to włoży w jakieś małe blaszane pudełeczko, zawinie w chustkę do nosa i wciśnie w kretowisko najbliższe ławeczki pod dębem. Ja pójdę piechotą do Milanówka.

Widocznie na wszelki wypadek, chciał być zupełnie "czysty".

Uściskał mi rękę, skinał głową i nic więcej nie mówiąc poszedł dalej ulicą Wilsona. Nie wiem dlaczego, ale zrobiło mi się jakoś bardzo przykro. Ten tajemniczy człowiek idzie samotnie naprzeciw swemu przeznaczeniu. Nic nie wiem o nim, o jego najbliższych, nawet nie wiem kim był jego brat, jak miał na imię. Miałem przeczucie, że to było ostatnie z nim spotkanie, że go więcej nie zobaczę. Myślałem tak, stojąc i patrząc, jak równym i spokojnym krokiem odchodził. Gdy skręcił w ulicę Przeskok wiodącą w stronę Milanówka, poszedłem do domu. Zrobiłem, jak chciał. Nie czytając karteczki, schowałem ją w apteczne pudełeczko do maści, zawinałem w swoją brązową chustkę do nosa i koło ławeczki pod dębem wyszukałem w kretowisku kreci korytarz w który wcisnąłem mały pakuneczek.

Praca w pruszkowskiej fabryce ołówków w dzień, a często i po normalnych godzinach pracy, nocne dyżury strażackie w fabryce, powodowały, że do domu do Brwinowa przyjeżdżałem przeważnie tylko na niedziele.

Niedługo po kapitulacji powstania pan Stanisław opuścił Brwinów, nie wiedzieliśmy, dokąd się udał. W domu tym pozostali - prócz ciotki i wuja - państwo Brunicy.

Zwycięską Armię Czerwoną i towarzyszącą jej armię Berlinga witałem w Pruszkowie. Po nocnym strażackim dyżurze, w czasie którego patrzyłem na ogień buchający z okien palącej się fabryki Mechaników, po detonacjach wywołanych przez ostatnich cofających się Niemców, po przysłądaniu się ludziom dźwigającym w workach zdobycz z rabowanych niemieckich magazynów i sklepów, koło południa dnia 17 stycznia 1945 roku patrzyłem na zielone czołgi stojące na ulicy przed stacją kolejową, na żołnierzy w zielonych, polskich mundurach, mówiących po polsku, często zmieszczając mowę jak poleszczycy lub lwowianie czy wilnianie. Żadnego żołnierza w rosyjskim mundurze tu nie było, choć niektórzy mówili czystym językiem rosyjskim kaleczonym przez żołnierski żargon.

Niedługo po tym, po przeczytaniu na słupie ogłoszeniowym małego, na maszynie pisanego zawiadomienia o rozwiązaniu Armii Krajowej, gdzie również powiedziano, że każdy może działać według swojego uznania i może się zaciągnąć do armii Berlinga, po rozmowie ze swoim dowódcą

plutonu "Litwinem", zgłosiłem się na ochotnika do wojska. Dzień Zwycięstwa 8 maja świętowałem już w szkole lotniczej w Zamościu.

Do domu w Brwinowie wpadłem dopiero w sierpniu 1946 roku, korzystając z nadarzającej się okazji. W dniach 10-19 sierpnia w Pruszkowie odbywała się Olimpiada Wojsk Lotniczych, w której jako reprezentant pułku brałem udział w dziwnej jak na lotnictwo dyscyplinie sportowej - w walce na bagnety.

Sportowcem byłem oczywiście na rozkaz dowódcy pułku, majora Potuszki. Byłem wysportowany, silny, idąc codziennie do stołówki przechodziłem z kolegą przez "małpi gaj", gdzie wyprawialiśmy cuda na poręczach i trapezach, co nie było niezauważone przez dowództwo a w szczególności przez szefa sztabu, malutkiego i złośliwego ale o dobrym sercu majora Szurachowa. Kiedyś, jak spóźniłem się na poranną zbiórkę pułku z powodu nadprogramowych skoków spadochronowych, przed frontem całego pułku zwymyślał mnie od najgorszych.

Gdy chciałem się usprawiedliwić, że moje spóźnienie na zbiórkę spowodowane było zbyt silnym wiatrem, który mnie zniósł zbyt daleko od lotniska, zaczął się wydzierać - oczywiście po rosyjsku - wskazując ręką na wysoki budynek naszych rakowickich koszar:

- Jeśli chcesz koniecznie sobie nogi połamać, to wejdź na dach i sobie skacz, no na zbiórkę spóźniać się nie wolno. -

Tak się złożyło, że przed dwoma tygodniami jeden z kolegów nieumiejętnie lądując ze spadochronem, połamał sobie śródstopie obydwóch nóg i później jako kalekę zwolniono go do cywila.

Ale sportowcem w walce na bagnety zostałem. Na rozkaz majora Szurachowa, przez dwa tygodnie szkolił mnie jakiś instruktor z piechoty. Na brałem takiej wprawy, że kilkakrotnie nawet temu instruktorowi wytrąciłem z rąk karabin.

Dzięki tej olimpiadzie, na której zdobyłem chyba przedostatnie miejsce, mogłem odwiedzić Brwinów.

Tam, w rozmowie z wujem dowiedziałem się, że pan Stanisław dwukrotnie odwiedził go i trochę "puścił farby" o sobie.

Pułkownikiem był już przed wojną, w czasie okupacji był w dowództwie Armii Krajowej, o czym doskonale wiedział jego brat, u którego mieszkał w Milanówku. Kiedyś, w czasie nieobecności pana Stanisława w domu, przyszło gestapo, szukając pułkownika Stanisława Grodzkiego. Brat pułkownika znając funkcję, jaką sprawował pan Stanisław w dowództwie AK, chcąc go ratować, powiedział gestapowcom, że on właśnie jest tym, kogo szukają, a był do swego brata podobny. Niedługo po aresztowaniu został rozstrzelany. Pułkownika szybko uprzedzono o aresztowaniu brata więc

do domu już nie powrócił i zamieszkał w Brwinowie. Pan Stanisław obiecał bratowej, że do końca swego życia będzie się opiekował nią i jej dziećmi. Stąd te jej częste wizyty w Brwinowie.

Będąc w wojsku, wyczytałem w jakiejś gazecie krótką notatkę, że w Warszawie odbył się na koszt państwa uroczysty pogrzeb generała brygady Stanisława Grodzkiego, który zmarł po ciężkiej chorobie.

Tak się złożyło, że dostałem od swojej matki list, w którym było przesłane na mój domowy adres wezwanie z RKU, abym się stawiał w celu odbycia służby wojskowej. Poprosiłem dowódcę eskadry o trzy dni urlopu dla wyjaśnienia sprawy (byłem wówczas w trzecim Pułku Lotnictwa Myśliwskiego w Babich Dołach koło Gdyni).

Sprawę w RKU załatwiłem w pięć minut i poszedłem odwiedzić wujka na ulicę Wilsona, aby się dowiedzieć o losie pana Stanisława.

Był on w Ludowym Wojsku Polskim w stopniu pułkownika, stacjonował na Wybrzeżu. Gdy w końcu marca 1946r. marszałek Michał Żymierski wizytował jednostki wojskowe na Wybrzeżu, pozytywnie ocenił go jako dowódcę. W dniu 9 maja 1946 roku pułkownika Stanisława Grodzkiego awansowano do stopnia generała brygady.

W listopadzie tego roku odwiedził wujka w Brwinowie, ale był w cywilnym ubraniu, wracał od bratowej, która z dziećmi mieszkała nadal w Milanówku. W czasie rozmowy wspominał, że "mają go na widelcu", że chyba źle się to wszystko skończy.

W pierwszych dniach grudnia odwiedziła wujka bratowa generała, powiedziała wujowi o jego śmierci i o ostatniej wizycie u niego w szpitalu w niedzielę, pierwszego grudnia.

Generał Grodzki miał małą przepuklinę. Zmuszono go, aby z tego powodu poddał się operacji, choć ta przepuklina praktycznie nie przeszkadzała mu. W końcu dostał rozkaz, że ma się udać na operację. Przewidywał, co mu grodzi ze strony dowództwa, dlatego umówił się ze znajomym lekarzem ze szpitala, aby on wykonał tę operację. Operacja odbyła się w piątek 29 listopada. Po operacji generał czuł się bardzo dobrze. W sobotę 30 listopada jakiś ważniejszy lekarz poinformował generała, że operacja nie udała się i że w poniedziałek 2 grudnia będą go musieli ponownie operować. Na zapytanie, który lekarz go będzie operował, wymienione zostało jakieś nieznane nazwisko. W czasie niedzielnych odwiedzin bratowej generał fizycznie czuł się dobrze, ale był "przygaszony" powstałą sytuacją i powiedział bratowej, że tym razem spod noża chirurga żywy już nie wyjdzie. Prosił, aby bratowa pożegnała od niego swoje małe dzieci. Stało się tak, jak generał przewidywał.

Jest duże prawdopodobieństwo, że jest możliwość sprawdzenia, czy prawdą jest to, co tu zostało opisane, ale moje ręce są zbyt krótkie aby te-

go dokonać, a czerwone łapy zbryzgane krwią Polaków są jeszcze zbyt długie i mogłyby temu przeszkodzić.

W prasie odnalazłem nekrolog Ministerstwa Obrony Narodowej następującej treści:

Ś.P.Stanisław Edward GRODZKI

gen.bryg., b.dowódca 5 Dywizji Piechoty

**ur.10 października 1895r. kawaler Krzyża Virtuti Militari V kl.,
Krzyża Walecznych czterokrotnie, Złotego Krzyża Zasługi dwukrotnie,
zmarł po ciężkiej chorobie dnia 2 grudnia 1946r.**

Nabożeństwo żałobne ... itd.

Reporter gazety tak zrelacjonował ten pogrzeb:

"Na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach odbył się pogrzeb zmarłego po ciężkiej chorobie gen.bryg.Stanisława Edwarda Grodzkiego.

Obok kaplicy cmentarnej ustawiała się kompania honorowa wraz ze sztandarem. Trumna ze zwłokami spowita krepą i flagą narodową tonie w powodzi zieleni. Na trumnie - czapka generalska i odznaczenia Zmarłego.

O godz.9-tej przybywa Naczelnny D-ca WP Marszałek Żymierski w towarzystwie Zastępcy Naczelnego Dowódcy gen.dyw.Spychalskiego i generalicji. Obecni są gen.dyw.Paszkiewicz, gen.dyw.Bordziłowski, gen.bryg.Prugar-Ketling oraz szereg wyższych oficerów MON i Sztabu Generalnego.

Uroczyste nabożeństwo żałobne i egzekwie odprawił ks.kapelan płk.Warchałowski w asyście dwóch księży, po czym sześciu oficerów wynosi trumnę z kaplicy.

Przy dźwiękach marsza Chopinowskiego kondukt posuwa się wolno w kierunku cmentarza. Na czele kompania honorowa ze sztandarem, za nią wieńce, rodzina zmarłego, generalicja z marszałkiem Żymierskim i gen.dyw.Spychalskim na czele, oraz delegacje cywilne.

Gen.bryg.St.Zawadzki w imieniu Krajowej Rady Narodowej dekoruje trumnę Krzyżem Grunwaldu III klasy i żegna zmarłego w krótkich żołnierskich słowach. Chyli się sztandar, kompania honorowa oddaje trzykrotną salwę honorową."

A wśród polskich żołnierzy stojących nad grobem stali - również w polskich mundurach - nie tylko renegaci, ale i przebierańcy.

Nie wszyscy wiedzieli, dlaczego generał musiał odejść. Czy dlatego, że był wysokiej rangi oficerem w dowództwie Armii Krajowej, czy dlatego, że w latach 1923-1926 kierował referatem "Rosja" w II Oddziale Sztabu Generalnego - co przegapili awansując go przed kilkoma miesiącami na generała, czy też były jeszcze jakieś inne przyczyny.

Co myśleli patrzący na mogiłę renegaci i przebierańcy w generalskich czapkach? Czyżby obawiali się, że żołnierze-Polacy mogą im jeszcze z podziemia zaszkodzić? Bo chyba nie zapomnieli słów towarzysza Stalina

wypowiedzianych w 1944 roku, że "Komunizm nie pasuje do Polaków, są zbyt wielkimi indywidualistami i nacjonalistami."

Ale skąd my znamy metodę załatwiania spraw "politycznych" przy pomocy lekarskiego skalpela?

Odsyłam zainteresowanych do przejrzenia kilku pozycji literatury, w których zawarte informacje można zreasumować następująco:

Frunze Michaił W., urodzony w 1885 roku, radziecki dowódca wojskowy, działacz ruchu robotniczego, uczestnik rewolucji 1905-1907 roku, organizator na Białorusi pierwszych oddziałów Czerwonej Gwardii, w okresie wojny domowej jeden z czołowych dowódców Armii Czerwonej, od 1924 roku zastępca przewodniczącego Rewolucyjnej Rady Wojskowej, od 1925 roku Komisarz Ludowy. Nie był człowiekiem Stalina. Cierpiał na wrzód żołądka. Na polecenie Biura Politycznego zrobiono mu podejrzaną operację - zmarł pod nożem chirurga w dniu 31 października 1925 roku. Pochowany przy Mauzoleum Lenina na Placu Czerwonym w Moskwie. Na jego miejsce powołano wiernego sługę Stalina - Klimenta Woroszyłowa.

Nic tu nie dodałem od siebie, jest to zbiór informacji zawartych w rosyjskich i polskich książkach z lat 1936-1996.

Szukałem śladów życiorysu Stanisława Grodzkiego, gdyż chciałem coś więcej wiedzieć o tym przypadkowo w życiu spotkanym niezwykle i dla mnie tajemniczym człowieku. Kim był, co robił w czasie okupacji, jaki był jego okupacyjny pseudonim.

Niestety, okazało się, że dostęp do archiwów wojskowych miałem zamknięty, szukałem więc w ogólnodostępnych źródłach. Wyjściowym źródłem była znakomita książka pana A.K.Kunerta "Ilustrowany przewodnik po Polsce Podziemnej 1939-1945", na którą trafiłem w Centralnej Bibliotece Wojskowej.

Opracowany na podstawie różnych źródeł, życiorys pana Stanisława przedstawia się następująco.

Stanisław Edward Grodzki pochodził z Ziemi Wileńskiej, ze starej kresowej szlacheckiej rodziny (ojciec-Kazimierz, herbu Belina). Urodził się 19 października 1895 roku w Zieleniewiczach w okolicach Grodna. Szkołę ukończył na Polesiu (w Pińsku). Były to ziemie zaboru rosyjskiego. Do armii rosyjskiej został powołany w październiku 1914 roku. Po ukończeniu w Wilnie szkoły oficerskiej był dowódcą kompanii piechoty. Od marca 1917 roku był zatrudniony - jako oficer w ataszacie rosyjskim w Paryżu (język francuski znał z domu rodzinnego).

Po wybuchu rewolucji bolszewickiej w 1917 roku, od listopada był oficerem Oddziału II Sztabu Misji Francusko-Polskiej, brał udział w tworzeniu Armii gen.Józefa Hallera, między innymi jako członek Misji Rekrutacyjnej

w USA i Kanadzie. Do Polski powrócił w kwietniu 1919 roku z Armią gen. Hallera, będąc dowódcą 3 Pułku Strzelców Pieszych.

Brał czynny udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku, został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari V klasy oraz czterokrotnie Krzyżem Walecznych.

Po wojnie, będąc w stopniu majora, w latach 1923-1926 kierował referatem "Rosja" w II Oddziale Sztabu Generalnego.

W latach 1927-1928 był Attache Wojskowym RP w Jugosławii, będąc tam, z dniem 1 stycznia 1928 roku awansował do stopnia podpułkownika.

Po powrocie do kraju i ukończeniu Wyższej Szkoły Wojennej został dowódcą 57 pułku piechoty, awansując w 1937 roku do stopnia pułkownika. Od jesieni 1938 roku był uczestnikiem kursu dla szefów sztabów i kwatermistrzów armii. Z powodu zbliżającej się wojny z Niemcami, kurs ten został przerwany w marcu 1939 roku.

W kampanii wrześniowej 1939 roku był szefem Sztabu Armii "Modlin".

W konspiracji, od grudnia 1939 roku był członkiem rady Wojskowej Organizacji "Wilki", a po wejściu tej organizacji w skład Organizacji Wojskowej "Unii", we wrześniu 1941 roku został jej komendantem pod pseudonimem "Dr Edward".

Po scaleniu z Armią Krajową w marcu 1942 roku pełnił funkcję Pełnomocnika Dowódcy Armii Krajowej (gen. "Grot") do spraw scalenia Polskich Wojsk Unijnych, a następnie był inspektorem Komendy Głównej Armii Krajowej, pod pseudonimem "Edward".

Od 1943 roku był Komendantem "Obwodu Zachód Armii Krajowej" z siedzibą w Warszawie, pod pseudonimem "Sadowski".

Po wyzwoleniu kraju był dowódcą 16 a następnie 5 Dywizji Piechoty, awansując z dniem 9 maja 1946 roku do stopnia generała brygady. W siedem miesięcy później był jego pogrzb.

W kilka lat po opisanych tu wydarzeniach, gdy byłem już studentem chodzącym w resztkach munduru lotniczego stalowego koloru, siedziałem na zmurszałej już nieco ławeczce pod dębem i uczyłem się, przygotowując się do letniej sesji egzaminacyjnej. Przypominałem sobie wówczas o prośbie pana Stanisława, schowania w kretowisko małego zawiniątka. Byłem pewien, że zabrał swój dokument, ale na wszelki wypadek poszedłem po łopatę i zacząłem kopać, a pamiętałem, w którym miejscu było to kretowisko.

Już za trzecim zagłębieniem łopaty w ziemię, trafiłem na swoją brązową chusteczkę, a w niej pudełeczko. Wewnątrz bibułka była nieco wilgotna, delikatnie ją rozłożyłem i zacząłem czytać. Kserokopię tej bibułki załączam, a treść na niej zapisana (przepisałem ją zaraz po rozłożeniu bibułki) jest następująca:

Rr 56/vv to 23 de 09 3108 - w 0083

Nr 560 dn 31 sierpnia, Hallerowo-Sadowski zna wasze 85. przyjmuję do wiadomości waszą dyspozycyjność. Zatrzymuję was w rezerwie d-ców. Potrzebną kwotę na skompletowanie waszego ubrania pobierzcie z kasy Hallerowo. Podajcie kontakty na Nałęczu aby uzyskać od niego adresy Klucz i do Lunety i Wazonu. Adresy te potrzebne dla nawiązania łączn. z okręgiem. Znicz.

otr.3.9.44. g.19

...?... 3.9.g.10.50 . Nies

Byłem pewien, że pan Stanisław miał pseudonim "Nies", gdyż taki jest podpis na bibułce. Dopiero niedawno odnalazłem, że miał on w tym czasie pseudonim "Sadowski". A kim był "Znicz" i "Nies"? Może ktoś pomoże rozszyfrować pseudonimy zawarte na bibułce.

A najważniejsze:

Chyba należy ocalić od zapomnienia pamięć o takich ludziach, jak brat pana Stanisława i o nim, Stanisławie Edwardzie Grodzkim, którzy zginęli za Ojczyznę, jeden w Polsce zniewolonej przez narodowy SOCJALIZM, drugi - przez realny SOCJALIZM.

Rr 56/vv to 23 de 09 3108 - w 0083

Nr 560 dn 31 sierpnia, Hallerowo-Sadowski zna wasze 85. przyjmuję do wiadomości waszą dyspozycyjność. Zatrzymuję was w rezerwie d-ców. Potrzebną kwotę na skompletowanie waszego ubrania pobierzcie z kasy Hallerowo. Podajcie kontakty na Nałęczu aby uzyskać od niego adresy Klucz i do Lunety i Wazonu. Adresy te są potrzebne dla nawiązania łączn. z okręgiem. Znicz.

otr. 3.9.44. g. 19
... 3.9.g.10.50
Nies -

Kartka z raportem płk. Grodzkiego wydobyta po kilku latach z ukrycia